



Mirosław Derecki
„THE GLOBE 2” CZYLI BURZLIWE DZIEJE JÓZEFA
ODROWĄŻA PORHATYCKIEGO

Pojechałem w teren zbierać materiały do reportażu o klubokawiarniach „Ruchu”, a wróciłem z dokumentami, które rzucają nowo światło na przeszłość lubelskiego teatru...

Był późny wieczór, kiedy redakcyjny samochód dobrnął do niewielkiej wsi Brzozów niedaleko miasteczka Wąwolnica. Wszedłem do ciemnego domu, na którego drzwiach przybito tabliczkę informującą, że tutaj znajduje się klub „Ruchu”. Wewnątrz paliła się lampa naftowa - tego dnia brakowało prądu. W klubie pustki. W trakcie rozmowy z kierowniczką podeszliśmy do dużego stołu w kącie sali. Pełnił on tutaj rolę tzw. „Izby pamiętek”. Pomiędzy zardzewiałym niemieckim bagnetem i polskim hełmem z 1939 r. zauważyłem niewielką książeczkę i paczkę starych listów. Książką, porządnie sfatygowana, nosiła tytuł: „Souvenirs d'un officier polonais. Scenes de la vie militaire en Espagne et en Russie, 1808-1812”, wydana została w 1818 r. w Jenie, a jej autorem jest niejaki Józef Odrowąż Porhatycki. Listy, również pisane po francusku, stanowiły – jak się później okazało – korespondencję autora książki z siostrą, właścicielką Brzozowa. Książkę i listy znalazły dzieci na strychu budynku mieszkalnego dawnego majątku, gdzie obecnie mieszkają pracownicy PGR i przyniosły do klubu...

Oto więc historia, która uzupełnia urzędowe zapiski miejskie dotyczące lubelskiego teatru na przełomie XVIII i XIX wieku. Wyłania się z niej postać człowieka ogarniętego szlachetną pasją, trochę zagubionego w epoce, uznanego przez najbliższych za nieszkodliwego maniaka, nie zauważonego przez społeczeństwo...

Józef Odrowąż Porhatycki niewiele wiedział o swoim ojcu. Tyle, że był on szlachcicem i... aktorem, urodził się na wschodzie, pod koniec XVIII wieku przybył do Warszawy, gdzie jako jeden z pierwszych ukończył szkołę dramatyczną Wojciecha Bogusławskiego. Widać jednak niezbyt mu się wiodło w stolicy i talenta pewnie posiadał niewielkie, skoro wkrótce, około 1790 r., znalazł się z trupą teatralną, Harasimowicza w Lublinie. Ale tutaj jeszcze

trudniej było o kawałek chleba, szczególnie młodemu absolwentowi, który grywał tzw. „ogony”.

... „Aktorowie narodowi - stwierdza dekret miejskiej rady z 21 września 1791 r. - (...) do Lublina zjechawszy i z miastem ułożywszy się, w tym zapewnieniu puste rudera od szl. Jana Makarowicza (...) najęli a z tych pustek (...) tenże teatr i w nim łoże wystawili”. Wydatki więc poczyniono znaczne, ale publiczność nie dopisywała, Harasimowicz tonął w długach. Wydarzenia 1792 r., potem napływ wojsk moskiewskich do Lublina, polepszyły co prawda położenie antreprzyzy lubelskiej, ale i tak... „po dwóch kwartałach aktorowie z Lublina odjechali (brak zysków - przyp. MD) nie zapłaciwszy właścicielowi dwóch rat kwartalnych czyli 50 czerw. zł.”.

Zresztą „aktorowie” narzekali nie tylko na obojętność publiczności, ale i na... konkurencję. W 1784 r. np. bawił w Lublinie Bartłomiej Tomazetti, Włoch rodem z Parmy, który „mając dwa pieski uczone tańcować z tego sposób jedyny pożywania miał”. W 1787 r. przybyli „ze zwierzętami” Włosi - Józef Karamatti, Melchior Fietta i Józef Feri, a stale odwiedzali miasto różni linoskoczkowie i kuglarze. (Zresztą również aktorzy mieswali w swych zespołach *sui generis* „oddziały specjalne” złożone z własnych akrobatów). A konkurencja w postaci trzech kręgielni i dwóch bilardów, do których tłumnie uczęszczano, a liczne szynkownie i kafenhauzy, w których takie pijaństwo, kartograjstwo i zgorzenie się odbywały, że aż musiała się w to wszystko wdać komisja dobrego porządku...!?

Młody warszawski frant musiał być załamany i zrozpaczony. Nie takie mu się pewnie w teatrze marzyło życie. Toteż kiedy Nepomucen Porhatycki wpadł w oko przystojnej mieszcance pannie Klotyldzie Lapin, córce złotnika Jean Lapin'a, Francuza osiadłego w Lublinie, posiadającego swój dom i warsztat przy ul. Grodzkiej pod numerem 7, bez wahania wziął z nią ślub, chociaż stary rzemieślnik sprzeciwiał się temu mariażowi nie widząc w nim żadnych korzyści dla córki, pomimo że małżeństwo ze szlachcicem - choćby on był tylko aktorem - stanowiło dla mieszczańskiej rodziny wywyższenie. Z tego związku narodziło się dwoje dzieci. W 1792 r. przyszedł na świat Józef Odrowąż, w dwa lata później Izabella. Zawarte wbrew woli ojca małżeństwo nie przyniosło Klotyldzie szczęścia. Młodemu galantowi nie odpowiadało osiadłe i spokojne życie. Może scena okazała się silniejsza nade wszystko? Dość, że w cztery lata po ślubie pan Nepomucen Porhatycki pewnego dnia nie powrócił do domu i odtąd wszelki słuch o nim zaginął.

Zastanawiałem się, czy sprawa klejnotu szlacheckiego (pieczętował się herbem Janina) i nawet samego nazwiska Porhatycki nie była po prostu jakąś mistyfikacją młodego aktora. Sprawę wyjaśnił dopiero „Zbiór Nazwisk Szlachty z opisem Herbów własnych Familiom zostającym w Królestwie Polskim i Xięstwie Litewskim przez urodzonego Piotra Nałęcza Małachowskiego ziemianina Województwa Czernichowskiego” wydany w Lublinie w 1805

r. Istotnie, gdzieś pod Żytomierzem miał się znajdować zaścianek Porhaty zamieszkały przez Porhatyckich herbu Janina, uszlachconych przez Króla Jana Kazimierza. We wspomnieniach Józef Odrowąż Porhatycki pisze, że ojciec przybył do Warszawy zza Bugu „dla zrobienia kariery”. Musiał więc najprawdopodobniej pochodzić z owych Porhat. Dlaczego jednak zamiast myśleć o wojsku lub stanie duchownym, wybierał się młody Nepomucen do dalekiej Warszawy z głową nabitą marzeniami właśnie o karierze teatralnej, pozostanie na zawsze tajemnicą.

Młodzi Porhatyccy otrzymali staranne wychowanie. Szczególnie Józef Odrowąż, któremu bogaty dziadek przeznaczył karierę żołnierza lub dyplomaty. Wnuk miał zmasać winy zięcia i dzięki własnemu klejnotowi szlacheckiemu oraz pieniądzom dziadka podnieść znaczenie rodu Lapinów- Porhatyckich. Zrozumiałe, że od dziecka chłopiec mówił równie dobrze po francusku jak po polsku i że będąc obywatelem Lublina przesiąkł zarazem na tyle atmosferą dalekiej Marsylii (z której przyjechali Lapinowie), że wreszcie przez długie lata ani jego rodzina ani on sam nie mógł się zdecydować, kim jest: Polakiem, Francuzem, czy jednym i drugim. Jego świadomość narodowa miała się dopiero wykrystalizować w ciągu długich lat wojen, z dala od kraju i w coraz bardziej obcym mu wojsku. Świadomość narodowa, a zarazem prawdziwe powołanie życiowe. Na razie jednak Józef Odrowąż Porhatycki o tym wszystkim nie myślał. Mając niespełna 17 lat wstąpił do wojska i to nie do polskiego lecz francuskiego i wkrótce w szeregach 4 pułku strzelców konnych pod dowództwem majora Degree znalazł się w Hiszpanii.

W tym miejscu rozpoczynają się jego burzliwe losy .

O ojcu wiedział tyle, że był człowiekiem upadłym, zajmującym się zawodem niegodnym nie tylko szlachcica, ale w ogóle mężczyzny - osobnikiem prezentującym na scenie swe łydki zgromadzonej gawiedzi: aktorem. Właśnie taki człowiek potrafi zostawić bez słowa młodą kobietę z dwojgiem dzieci na ręku i pójść, gdzie go oczy poniosą. On miał winę ojca przekreślić szablą.

Ale jabłko pada niedaleko od jabłoni. Młody Józef Odrowąż natknął się najpierw w domu własnego dziadka na francuską książkę ze sztukami Moliera, potem „przewrotni” metrowie zaczęli mu podsuwać do czytania Franciszka Bohomolca, Ignacego Krasickiego, to znowu wpadła mu w ręce „Dziewica Orleańska” Woltera, to „Cyd” Corneille’a. W czasie przejazdu przez Francję, a potem na długich postojach w domach kastylijskiej szlachty, nie jeden raz przyszło mu spotkać się z książkami, na kartach których tekst nie biegł wartko linijka za linijką, ale był podzielony na kwestie wypowiedane przez różne osoby. Z dala od atmosfery domu rodzinnego, pod wpływem lektur, sylwetka nieznanego ojca zaczęła zmieniać kontury, jego powszednie, przyziemne przywary traciły znaczenie, ojciec wydawał mu się teraz giermkim walczącym u boku tych ludzi pióra, którym się królowie kłaniali. Tymczasem na

biwakach produkowali się przed żołnierzami linoskoczkowie i sztukmistrze, tańczyły hiszpańskie Cyganki i płały cygańskie niedźwiedzie. I wówczas zrodziła się w umyśle Porhatyckiego idea stworzenia wojskowej antrepyzy, której kierownikiem mógłby być właśnie on, syn aktora, wychowanka Bogusławskiego! Były to przecież tylko młodzieńcze marzenia, na których realizację siedemnastoletni, świeżo upieczony oficerek musiał jeszcze długo poczekać. Na razie oczekiwała go wielka i okrutna przygoda.

Szwadron, w którym służył Porhatycki, stacjonował we wrześniu 1809 r. w południowej Kastylii w niewielkiej wiosce Mendes, będącej własnością Ignacio d'Ivareza. D'Ivarez był podejrzany o kontakty z gerylasami. Pewnego dnia na skutek - jak pisze w swych suwenirach Porhatycki - „niewinnej sprzeczki o miejscową dziewczynę pomiędzy żołnierzami a tubylcami” doszło do formalnej bitwy pomiędzy uciskaną ludnością i okupantami. W bitwie poniosło śmierć kilkunastu Francuzów. Zaalarmowany major Degree przybył z trzema szwadronami i wziął krwawy odwet na mieszkańcach Mendes. Dwudziestu chłopów powieszono na rynku, d'Ivareza i jego syna - jako szlachtę - ścięto. Z rodziny d'Ivarezów pozostała tylko córka, Clara, która jeszcze wcześniej związała swe losy z losami Józefa Odrowąża. Była pierwszą kobietą w życiu młodego romantycznego oficera i pierwszą jego miłością. Poruszony do głębi hiszpańskimi wypadkami chciał Porhatycki wystąpić z wojska. Skończyło się jednak tylko na tym, że na skutek odniesionej rany wziął długi urlop, w trakcie którego ożenił się z Clarą d'Ivarez. Ślub odbył się w zburzonej Saragossie, a udzielał go polski kapelan Legii Nadwiślańskiej. Pisze Porhatycki, że wówczas po raz pierwszy wspominał Lublin jako miasto leżące w jego prawdziwej ojczyźnie. Małżeństwo w warunkach obozowych podkopało zdrowie wątłej Hiszpanki. Clara zmarła kilka miesięcy po ślubie, wydawszy na świat martwe dziecko.

Po kampanii hiszpańskiej Porhatycki nie wraca jednak do kraju, lecz przechodzi z pułkiem - już w randze porucznika - do Francji i w Dijon rozpoczyna banalne koszarowe życie. Jego wspomnienia z tego okresu dają się bez szkody przekartkować. Na uwagę zasługuje jedynie parę zdań z których wynika, że umiła sobie czas (poza popularnymi dla stanu żołnierskiego rozrywkami) również czytaniem i - w czasie częstych wyjazdów do Paryża - chodzeniem do teatru. Chwalili się także, że poznał osobiście słynnego Talmę.

Rozpoczyna się kampania rosyjska. Wojska napoleońskie przechodzą przez Polskę, ale szlaki pochodu czwartego pułku strzelców konnych wiodą daleko na północ od Lublina. Józef Odrowąż Porhatycki prawie od pięciu lat jest poza krajem. Z domem utrzymuje luźne kontakty listowe. Co go wiąże z daleką rodziną? Ma teraz 22 lata, był w Hiszpanii, sam zdążył założyć rodzinę i stracić ją, żył w Dijon i w Paryżu. Jest wciąż tylko porucznikiem. Od kilku lat nie awansuje. Nie cieszy się zbyt dużą popularnością wśród kolegów, nie jest lubiany

przez zwierzchników. Może dlatego, że wiele... czyta. Interesuje go sztuka, literatura, zwłaszcza teatr. Co to za kompan? Jaki to podwładny?

13 lipca 1811 r. jego pułk przekracza Niemen. Wkrótce, w bitwie pod Smoleńskiem, do Porhatyckiego uśmiecha się los. Powierzone mu zadanie wykonują tak dobrze, wykazuje tyle bystrości i inteligencji, że na rozkaz samego marszałka Duroc'a zostaje odkomenderowany do jego sztabu. M. in. powierzono mu sprawy „rozrywek dla wojska” w korpusie Duroc'a. I teraz dopiero okazuje się, że biedny porucznik wpadł z deszczu pod rynnę: on, któremu marzył się teatr dla żołnierzy, mający podnosić ich poziom a zarazem wpływać na bojowe morale. Jest obecnie człowiekiem odpowiedzialnym w korpusie za całe tałałajstwo ciągnące się za wojskiem: akrobatów, linoskoczków i co tu ukrywać, najprawdopodobniej za... wesołe domki na kółkach, w których podróżują upadłe panienki! Nic dziwnego, że autor woli opisywać bój pod Borodino, zajęcie i wyjście z Moskwy oraz przejście przez Berezynę - niż zdawać relację ze swoich codziennych, służbowych zajęć. Po szczęśliwym przetrwaniu wielkiego odwrotu Porhatycki znów jest w swoim pułku.

Na tym kończą się właściwe wspomnienia Józefa Odrowąża Porhatyckiego. Pozostaje jednak jeszcze najważniejszy dla nas - epilog. On bowiem stanowi klamrę, która zepnie cały młodzieńczy, „przygotowawczy” okres życia aktorskiego syna i w ostatnich zadaniach skieruje nas z powrotem do Lublina.

Ale zanim to się stanie, musi się jeszcze Porhatycki zetknąć z Szekspirem i z teatrem angielskim. W tym celu musi się znaleźć w Anglii.

I przybywa do niej jako jeniec wojenny, wzięty do niewoli przez Anglików w przeddzień bitwy pod Waterloo, podczas rekonesansu, na czele kilku strzelców konnych, wciąż jako porucznik... (Choć też kawaler Legion d'honneur!).

Epilog książeczki obejmuje niepełne trzy strony druku, za to zawiera prawie czteroletni barwny i owocny okres życia byłego żołnierza. W ciągu tych kilku lat pobytu w Anglii Porhatycki zdążył dość dobrze poznać język, mieszkać w Birmingham. Londynie oraz w jednej ze wsi hrabstwa Essex, wrócić znowu do Londynu, zaczepić się tam przy teatrze i... chłonać Szekspira! Chłonać a nie tylko poznawać. Poznawać może każdy. Chłonać ten - kto zafascynowany, potrafi przez cztery lata dobrowolnie pozostawać na obczyźnie, znosić biedę i poniewierkę tylko po to, żeby poznać! I potem cały ten gorący dla siebie okres wstydliwie zamknąć w kilku prostych zdaniach.

I znowu Lublin. Jest rok 1819. Po dwunastu latach nieobecności syn Polaka zza Bugu i wnuk Francuza z Marsylii wraca do rodzinnego miasta. Musi uważać to miasto za swoje i ten kraj za własny, skoro powraca właśnie tutaj, chociaż z listów wie, to dom przy ulicy Grodzkiej spalony, dziadek i matka nie żyją, a siostra, teraz już jako pani Izabella Siemieńska, mieszka w majątku męża Brzozów pod Wąwolnicą. Józef Odrowąż Porhatycki

zbliża się do trzydziestki. Nie wiadomo po co wydal w Jenie swoje pamiętniki, których większość dotyczy spraw banalnych, a tylko drobna część zawiera rzeczy naprawdę istotne. Ale właśnie dzięki temu, że banalne wspomnienia zostały napisane, znalazły się w nich i te nieliczne zdania, stanowiące klucz do kilku późniejszych listów wysyłanych od czasu do czasu z Lublina do Brzozowa i ukazujących trzeci, dla nas najciekawszy, okres życia Józefa Odrowąża Porhatyckiego.

Wartka narracja wspomnień skończyła się. Teraz miejsce na nieliczne fakty i czas na dedukcję...

Rodzeństwo pisywało do siebie po francusku. Może ze względu na sentyment do beztrudnych czasów dzieciństwa, może trochę z uwagi na brata, który wiele lat był za granicą.

Co mógł robić w Lublinie człowiek, który najlepsze lata swego życia spędził w wojsku, niczego poza wojowaniem nie umiał, który stracił dom, rodzinę, schedę? Mógł jeszcze zostać np. nauczycielem języków (znał przecież oprócz francuskiego także angielski), mógł zostać rezydentem na łaskawym chlebie u siostry i szwagra. Wybrał to pierwsze. Zresztą siostra musiała ocalić co nieco z ojcowizny, bo w listach sporo miejsca zajmują jakieś rozliczenia pomiędzy rodzeństwem, a w okresie, kiedy Józef Odrowąż realizował dzieło swojego życia, jego prośby o pieniądze przyjmują ton prawie napastliwy z powoływaniem się na „święte prawa dziedziczości” itp.

Mieszkał więc były porucznik napoleoński w niewielkiej izdebce przy ulicy Żmigród i na co dzień wiódł żywot „dochodzącego metra” języków obcych, na co zresztą uważa się przed siostrą prawie w każdym liście. Jednak już pierwszy list, datowany 21 stycznia 1820 r., pokazuje, że lata spędzone w Anglii nie stanowiły okresu całkowicie zamkniętego, że cicha przystań przy ulicy Żmigród jest tylko okresem przejściowym do następnego, i że ambicje dzisiejszego nauczyciela sięgają wysoko: między wieloma innymi sprawami pisze do siostry, że właśnie skończył tłumaczyć na polski sztukę „wielkiego Anglika”, której tytuł brzmi (w dosłownym tłumaczeniu z francuskiego tekstu listu) – „Sen podczas letniej nocy”. Dodaje, że... „jest to już czwarta komedia jaką przełożyłem od czasu jak opuściłem Anglię” i podaje tytuły sztuk, które dzisiaj znamy jako: „Dwaj panowie z Werony”, „Kupiec wenecki” i „Wesołe kumoszki z Windsoru”.

Dlaczego właśnie komedie a nie „Hamlet”, „Otello” czy „Romeo i Julia”? Być może, nie był jeszcze całkiem pewien swojej sztuki, a może uważał, że w zamierzeniu, które sobie postanowił właśnie od tych sztuk chytrze należy zacząć, żeby później przechodzić do coraz bardziej trudnych i poważnych? Mamy więc problem numer jeden: Porhatycki jako autor pierwszych polskich tłumaczeń Szekspira. Nieudolnych zapewne, bo rękę miał bardziej wdrożoną do szabli niż do pióra, a i znajomość języka była problematyczna, i wykształcenie niekompletne - ale wszak: pierwszych! Przecież dopiero około 1840 r. ks. Ignacy

Hołowiński, kanonik kijowski, rektor i profesor Akademii Duchownej w Petersburgu, późniejszy metropolita mohylowski, przetłumaczył z angielskiego sześć utworów i wydał je w latach 1839-1841.

Znani tłumacze Szekspira, Andrzej Edward oraz Stanisław Egbert Koźmianowie i Leon Ulrich pochodzili z Lubelszczyzny. Andrzej urodził się w 1804 r., Stanisław Koźmian i Leon Ulrich byli równolatkami (ur. w r. 1811), wszyscy trzej kształcili się w tym samym czasie u pijarów w Lublinie - niewykluczone więc, że uwielbienie Szekspira zaszczerpił w nich skromny ex-porucznik, który toporną ręką rąbał szekspirowskie strofy.

Nie dotrwała do naszych czasów ani jedna linijka tamtych rękopisów, choć gdyby doszły do skutku pertraktacje z drukarzami... (Porhatycki prowadził rozmowy w sprawie wydania swoich przekładów z właścicielem lubelskiej drukarni Janem Pruskim oraz z Klemensem Urmowskim, pod którego redakcją wyszedł kilka lat wcześniej „Almanach lubelski na rok 1815 dla amatorów literatury ojczyściej” - także u Pruskiego).

Ale nie po to tłumaczył Porhatycki komedie „wielkiego Anglika” żeby ukazywały się drukiem. Miał inny, szalony zamysł. Zamysł godny „dziecięcia wieku”, syna zaściankowego szlachetki a zarazem stanisławowskiego franta oraz inteligentnej Francuzeczki, zamysł godny człowieka, który sam nie wiedząc dlaczego, przemierzył całą Europę, a wrócił do kraju tylko po to, żeby na potrzaskanym łodzi budować nowe zamki: Józef Odrowąż Porhatycki postanowił ni mniej ni więcej tylko założyć w Lublinie teatr, który by wystawiał Szekspira. Czyli drugi „The Globe”! Wariat czy maniak? Jedno i drugie, ale przy tym cóż za fantazja!

Rzecz miała miejsce w niedzielę 25 lipca 1821 r. w dzień św. Łucji. Tłumy gapiów stały przed wielką drewnianą szopą przy ulicy Podwale. Z nastaniem zmroku zaczęto chętnych wpuszczać do środka. Kiedy po pewnym czasie odsunęła się firanka zakrywająca scenę, tłum mógł zobaczyć dziwacznie poprzebieranych uczniów z kolegium pijarów, a także kilku miejscowych uliczników, recytujących drewnianymi głosami zdania ze sztuki „Sen podczas letniej nocy”.

Tak to właśnie musiało wyglądać. Chyba właśnie tak, bo w liście do siostry Porhatycki pisze bardzo sucho o całym wydarzeniu, ogranicza się do zwięzłej informacji. (Pani Izabella Siemieńska nie zaszczyliła widocznie swoją obecnością uroczystości otwarcia teatru. Fanaberie brata musiały ją dobrze uderzyć po kieszeni, nie chciała się dodatkowo denerwować).

„...Przedstawienie udane - pisał Józef Odrowąż - chociaż nie ta przyszła publiczność, o którą mnie chodziło, i tam się śmiała, gdzie nie należało. Aktorowie także czasami zbyt szybko wypowiadali swe kwestie i nie zawsze trzymali umiar w wymachiwaniu rękami.

Jednak dobry początek został zrobiony i da Bóg, następne przedstawienia i następne komedie sprawią, że cel którym sobie założył, będzie osiągnięty”.

Ciekawe, ile przedstawień odbyło się, czy teatr splajtował od razu, czy jeszcze przez dłuższy czas gospodarstwo państwa Siemieńskich musiało z góry odpisywać pewne sumy na straty? Fakt, że w ostatnich listach nic się na temat teatru nie wspomina. I wraz z ostatnim listem z 1825 r. urywa się nasza znajomość z Józefem Odrowążem Porhatyckim.

Kroniki lubelskie nie odnotowały wydarzenia z 25 lipca 1821 r. Jeżeli nawet mówiono o nim, to nie uważano za godne zapisywanie tego. Błazeństwo lubelskich żaków w szopie przy ulicy Podwale były dla miejskich rajców tyleż samo (albo i mniej) godne uwagi, co trupy wędrownych kuglarzy ciągnące przez miasto. Zresztą Lublin przygotowywał się na przyjęcie prawdziwego teatru: przy ulicy Jezuickiej (dziś Trybunalska) Łukasz Rodakiewicz wznosił pierwszy budynek teatralny (obecnie kino „Staromiejskie”), który następnie służył miastu jako teatr przez sześćdziesiąt cztery lata.

W latach siedemdziesiątych XIX wieku przybył tu wraz z swym zespołem wielki Trapszo i dał m. in. przedstawienia „Hamleta” i „Romeo i Julii”.

P. S. Kiedy przeglądałem roczniki „Gazety Warszawskiej” z połowy ubiegłego stulecia, wpadła mi w oko następująca notatka zamieszczona w numerze z 24 września 1848 roku, w dziale „Zdarzenia”: „Onegdaj wieczorem byliśmy w Warszawie świadkami niecodziennego widoku: przy zbiegu ulic Koziej i Krakowskiego Przedmieścia stał wśród licznej gawiedzi starzec o kuli i deklamował rewolucyjne wiersze. Ponieważ zakłócał w ten sposób spokój publiczny, dwóch żandarmów odprowadziło go na odwach. Zatrzymany okazał się urodzonym Józefem Pochertyńskim czy Pohertyckim”.

Czy postać Józefa Odrowąza Porhatyckiego pojawiła się po raz pierwszy w prasie w 1848 r., czy jest to tylko przypadkowe podobieństwo nazwisk?

Pierwodruk: „Kamena”, 1967, nr 6, s. 1, 6-7.